TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROK 1915—1921

REDAKTOR: DR. MIECZYSŁAW ŚWIERZ



KRAKÓW 1921
NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

scem ubezpieczenia. Upadek zatem na całą długość 30 m liny spowodował zerwanie lin na ostrej krawędzi skały a niewątpliwie i natychmiastową śmierć śp. Bronikowskiego, wskutek złamania kręgosłupa.

Ś. p. Stanisław Bronikowski, urodzony w Chołowie, w Księstwie Poznańskiem, z ojca Tadeusza i matki Julji ze Stablewskich liczył zaledwie 22 lat życia. Ojca nie pamiętał, a troskliwe wychowanie, otrzymane od matki, wpoiło weń ogromne, serdeczne i gorące ukochanie ojczystego kraju, cnoty obywatelskie i tężyznę. właściwą Polakom z b. zaboru pruskiego. Od lat dziecinnych często, a od czasu wojny — zmuszony warunkami — stale przebywając w Zakopanem i zapoznając się z Tatrami stał się fanatycznym ich miłośnikiem. W rozlicznych wędrówkach po górach, pod okiem wytrawnych turystów nabrał rutyny i niezwykłej techniki taternickiej, która pozwoliła mu na odbycie szeregu pierwszorzędnych przejść. Nigdy nie zamącona pogoda umysłu, dziecięcy humor wraz z poświęceniem koleżeńskiem i bezinteresownością w przyjaźni czyniło z Niego niezrównanego towarzysza, zyskującego sobie serca starszych i o wiele starszych taterników i narciarzy.

Tragiczny wypadek przeciął życie Jego młode, zapowiadające się pod każdym względem nieprzeciętnie. Śmierć Jego okryła żałobą nietylko rodzinę.

W imieniu taternictwa polskiego, którego ideały tak były bliskie sercu ś. p. Bronikowskiego, wyrażamy na tem miejscu cześć Jego czystej pamięci.

J. G. P.

Niepowrotny dzień.

Zdarzyło się to w jeden słoneczny dzień sierpniowy 1911 roku:

Na zamarłych, głazami zasutych tarasach Doliny Złomisk w Tatrach rozbiła obozowisko gromadka turystów i jęła krzątać się około wybrednego, iście burżujskiego obiadu.

Było południe.

W porze tej prawdziwych taterników tylko we wirchach się spotyka, niktby więc nie przypuścił, że ma przed sobą nie »ceprów«, gawiedź wałęsającą się po dolinach, ale sam honorny sztab Sekcji Turystycznej Tow. Tatrz. Że np. ów mąż o spojrzeniu satyra, z lubym uśmieszkiem wdychający wonny opar zupy, ważonej z kostek Maggiego, to Jerzy Żuławski, skalnych wypraw towarzysz niezrównany, albo, że tamten, z namaszczeniem odkrywcy obrotu ciał niebieskich badający smak kompotu śliwkowego — to taternik nad taternikami — prof. Marjan Smoluchowski, że wreszcie ten wytworny wędrowiec, co, ległszy na puchach trawnika, z pańską obojętnością otulił się błękitnym dymem hawańskiego cygara — to Janusz Chmielowski, o którym powiedziano kiedyś, że objął po Chałubińskim berło turystyki w Zakopanem.

W siedmioro — nie brakło bowiem i towarzyszki, pn. J. R. — siedzieliśmy tam wysoko pod turniami, ludzie różni wiekiem, godnością i zasługą, lecz jedni wielkiem, serdecznem Tatr ukochaniem.

Nad nami dźwigała się, w głąb nieba wbita, cudnie w granitach kowana piramida Wysokiej. Owej Wysokiej, u której zrębów cichemi szlakami nocy błądząc — Asnyk uczuł się »jednem łańcucha ogniwem, rozciągniętego przez otchłań błękitu« i odnalazł »związek z całym ogromem stworzenia« i która pamiętała czasy, kiedy to na jej czubie osędziałym gościła nieraz w dwudziestu chłopa drużyna niezapomnianego prof. Chałubińskiego, a w dal nadskalną niosły się nuty zbójnickich, szumnych melodyj, krzesanych ze staroświeckich gęślików Sabałowych.

Jeden to z wierzchołków jej czteroszczytnej korony — ponury Szczyt Smoczy — stanowił cel kroków naszych. Ale nie spieszyło się nam ku owym ścianom, złowrogą zielenią płyt połyskującym. Tak słodko było teraz leżeć na miękkiej darni trawników i wodzić oczyma po dziko nad stawy spiętrzonych turniach, lub utonąwszy w bezkresach błękitu wsłuchiwać się w senny szept wody ciekącej pod głazami, że w piersiach przycichało na chwilę owe »coś« nieuchwytne, co człeka nieprzeparcie żenie z dolin w chłodny zmierzch krzesanic. I kto wie, czybyśmy nie byprzedumali całego dnia w dolinie, gdyby nie prof. Smoluchowski, który — nieubłagany w przeprowadzaniu zamierzeń — od pewnego czasu z niepokojem spoglądał na słońce i coraz energiczniej w drogę napędzał.

Po godnym popasie niezbyt tęgo szło się nam przez piarżyska i złomy, ku spadzistemu grzbietowi Smoczego, dzielącemu dolinę w dwie kamienne zatoki. Osiągnęliśmy go w siodle tuż powyżej trzech Szarpanych Turni, owych dziwnych tworów granitowych, w których nie wiadomo co więcej zachwyca: bezczelna zuchwałość konturów, czy wykwintny artyzm struktury. Obszedłszy po ścianie smukłą »Igłę« w Wysokiej, stajemy w górnej szczerbie grzbietu, który jeży się teraz po odległy szczyt niby potwornego Nausaurusa zakamieniały kościec, obrywając się nad samą przełączką kilikunastometrowym, pionowym uskokiem.

W myśl wskazań taternickich rozdzielamy się na dwie, linami osobno zabezpieczające się partje, z których druga, z czterech członków złożona, postępować ma za pierwszą w pewnym odstępie.

Krótkie chwile przygotowań i już pierwszy śmiga zuchwale po gładkich pozornie płytach, zawierzając swe istnienie jedynie wytrzymałości palców i dłoni, które bez drżenia czepiają się ledwo wyczuwalnych, deszczami wyżartych wklęśnień, karbów i listewek i unoszą ciało coraz wyżej i wyżej nad okrutną głąb kotliny...

. . . .

Długo, nazbyt długo więziła nas dzika grań Smoczego. Aż w końcu bystro dotąd spiętrzony grzbiet raptem ugiął się i runął potężną zerwą w przeciwną stronę.

Staliśmy na szczycie. — Krótką jest nasza radość.

Oto wzrok przez długie godziny do want przywarty, teraz w bezkres wolnej przestrzeni ze szczytu rzucony, widzi, że spłowiał, przygasł błękit nad nami i zasępienie wieczoru na skalnych legło uroczyskach.

Jeszcze skrzy się na czołach Tatr namiętny odblask zachodu i lśni w dalach poza siną plamą lasów świetlana, czysta — jak to pierwsze kochanie — tafla Jeziora Szczyrbskiego, lecz od stóp dźwiga się granatowa czeluść mroku, chłonie posłoneczną śreżogę, niesie się na osmętniałe zręby gór. W czarnych, jak przeznaczenie nieodgadnionych oczodołach stawków czai się posępna groza i z ciemniejącego dna kotliny patrzy ku nam dziwnie, przejmująco...

Zegarek wskazuje wpół do ósmej, czas największy do zejścia, jeżeli noc nie ma zatrzasnąć nam skalnych wrót ku dolinom. Jeszcze chwilę krzepi się pierś chłodzącem — jak woda ze źródła — powietrzem górskiego wieczoru i wraz milczący nasz pochód grąży się w cień prostopadłej niemal ściany, opadłej naprzeciw w stronę wierzchołka Wysokiej. Droga tu krótka, lecz niepokojąco stroma i ciągle nad przepaścią rozpięta. W gęstniejącej pomroce trzeba prężyć wszystkie siły, by nie spleznąć z turni lub nie stąpnąć w próżnię. Ale w taką chwilę czuwa nad człowiekiem piastuńcza dłoń instynktu, owej pierwotnej, w życiu tak często miałem formułek i teoryj zapylonej władzy ducha i daje mu nieprzeczuwaną moc, zapamiętanie, pewność niezwodną...

Jakoż rośnie ponad nas wierzchołek, a głębokie, w cielsku Smoczego wyłupane szczeliny pozwalają, przy troskliwem ubezpieczaniu liną, zsuwać się niżej i niżej w urwisko. W końcu nachylenie skał łagodnieje. Stajemy na szerokim, bezpiecznym gzymsie, skąd już łatwo dotrzeć po boku Wysokiej ku zwykłej, dobrze nam znanej drodze, prowadzącej z tego szczytu w Dolinę Złomisk. Prędko i wygodnie idzie się tędy...

Naraz z poza czerniących się przed nami uboczy skalnych wzbija się w milczenie nocy jakieś wołanie. Donośne, przenikliwe. To pierwsza partja, zbiegłszy wcześniej ze Smoczego, sygnalizuje swój niepokój o nasze losy. Odhukujemy wesoło i niebawem łączymy się z towarzyszami, by wspólnie rozpocząć zejście wzdłuż niewyraźnej smugi kilkuset-metrowego żlebu, spadającego z Wysokiej wprost w dolinę. Żmudny, nad wyraz nużący to pochód w ciemnościach, po omacku, jedynie na łaskę dłoni i ramion wyczerpanych, osłabłych całodziennym trudem...

Od rumowisk dolinnych oddzielała nas jeszcze stroma, ze zbocza góry wybrzuszająca się »bula«, której niewysokie, lecz wygładzone ścianki mogły w takiej ćmie niemiłą stanąć zaporą. Minęła właśnie północ, gdy trawki i piarżysko istotnie uciekły z pod nóg. Złowieszcza, nieprzenikniona pustka wyjrzała poniżej.

Próbujemy zejścia. Na lewo, na prawo — nie »puszcza«. Na nic obecność w gronie dwu autorów »Przewodnika po Tatrach«, na nic znajomość Żuławskiego ze »srebrnym globem«, co nie bacząc na niedolę swego aojdy, ukrył się kędyś w otchłaniach przestworza. Jeszcze chwilę migoce w mro-

kach nocy błędny ognik latarki Smoluchowskiego, który z węchem Siuksa z prerji dalekiego zachodu, szuka drogi wśród gzymsów i stopni — ale i ta próba doznaje wkrótce niepowodzenia. Droga zatraciła się w urwisku i ciemnościach. Leźć dalej nieszczęściu w gardziel — niema nikt ochoty. Niema zarady, trzeba czekać na skałach do rozświtu.

Wtuleni między głazy, chwilowo nawet radzi z wytchnienia, snujemy pogwarę, póki nie ogarnie nas zaduma, w którą spowiła się ciemna roztocz wygwieżdżonego nieba i drzemiące wokół zaświatowe widma gór. Ściekająca kędyś po niewidzialnych rozpadlinach siklawica szemrze bez przerwy cichą, rzewną pieśń, roztapiającą się w przestrzeniach świata, jak ta tęsknota człecza, której niema kresu ni ukojenia...

Nad ranem zahuczał po tarasach bliskiego świtu goniec, wicher wyżynny i jął chłostać napastliwym powiewem, do reszty płosząc sen z umęczonych powiek. Wreszcie w czerń nocy dotąd wtopiony, potworny szczerbiec grani Kończystej, zamajaczył fantastycznymi zarysami na tle nieba, w które na widnokręgu wsiąkać poczęły coraz żywszą smugą ciche barwy jutrzenki.

Przejrzysty obrzask świtu wlewa się niebawem i w kotlinę, niosąc nam wyzwolenie z mroźnego legowiska. Dźwigamy się ze skał, patrząc ciekawie za dalszym zejściem.

Trzysta djabłów zjadło!

Powtórzyła się z nami przygoda owych artystów z Sienkiewiczowskiej noweli: Noc przesiedzieliśmy tuż nad piargami doliny, a owe złowrogie urwiska u stóp skurczyły się teraz do nikłych, niewysokich płyt i stopni, któremiby i krowę przepędził.

Tak zemścił się Smoczy za spóźnioną wizytę.

*
* *

Minęły lata.

Poprzez otchłań czasów ostatnich myśl płynie rada w przeszłość, ku chwilom orlich zapędów i zuchwałych czynów tatrzańskich. Płynie krzepić się pięknem młodości na graniach i turniach przedumanej. Wstają wspomnienia w otęcz świetlaną oprawne, mocne — jak żar południa, a jak las o wschodzie pachnące. Za jednym tylko wspomnieniem wlecze się smutek i głuchy żal. Nieprzeczuwanie zły los zawisł nad tymi, co ów dzień w Dolinie Złomisk górnie przeżyli. Odeszli w grób towarzysze nieopłakani, Żuławski i Smoluchowski, zaginęła wieść o Chmielowskim, roztracili się inni po świecie dalekim. Więc nigdy już nie staniem wraz, nadskalni druhowie, nad grani dzikiem urwiskiem i nie rzucim ze szczytu zwycięskiego krzyku, co niósł się skroś turni aż po polski niż słoneczny i nad Liptowem zadumany Dziumbir.

Hej »kajsi tak wszystko gna, jak mgły«...

Mieczysław Świerz.
